Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 49.
dnia 6. Listopada 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

OFIARY UCZUCIA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez Marję Grochowalską.

(Ciąg dalszy).

Wreszcie nadeszła tak długo upragniona chwila. Jęki chorej rozlegały się po wysokich komnatach pałacu. Stefan płakał jak małe dziecko, całujac po rękach lekarzy, a hr. Zbigniew stał w przyległym pokoju, blady jak widmo i z zaciśniętemi kurczowo ustami.

Do boleśnego jęku siedemnastoletniej matki, dołączył się nareszcie głośny płacz dziecka, a w tej chwili jeden z lekarzy drzwi zamknięte szybko otworzył, i zbliżywszy się do hrabiego Zbigniewa, rzekł uroczyście:

— Panie hrabio, chciej powitać zdrowego i silnego syna twej córki, a potomka rodziny, którą on odradza.

Opisać uniesienie radości hrabiego, szał jego, żadne pióro nie byłoby zdolne, i my się więc o to kusić nie będziemy. Od tej chwili stał się niańką i piastunką dziecięcia, niewolnikiem córki i jej syna. Dniem i nocą przemyśliwał, jakby ich uszczęśliwić. Widać, że decyzja prędko nastąpiła, bo już w kilka tygodni rzekł do Joasi:

— Córko najdroższa, ja, który żądałem od ciebie spełnienia wielkiej ofiary, zgrzeszyłem ciężko, Bóg jednak widać przebaczył mi, kiedy oczy moje ujrzały jeszcze syna twego, tyle upragnionego przezemnie dziedzica imienia i majątku. Ty spełniłaś zadanie twe z rezygnacją prawie świętej, — teraz jednak postaramy się o rozwód, który cię uwolni od małżonka wstrętnego — i w nowym a miłym związku, znajdziesz jeszcze należne ci szczęście.

— O nie ojcze — odrzekła ze smętnym uśmiechem młoda matka, tuląc dziecię do łona — nie — Stefan jest ojcem mego dziecięcia, Stefan mnie kocha, on jeden kocha mnie prawdziwie, jemu jestem potrzebna, jego nikt nie kocha, ja więc wraz z synem moim będziemy go otaczać przywiązaniem naszem.

W istocie, jako fenomen natury, musimy tu zapisać, że Joasia pokochała męża, który pod jej wpływem, w lat parę, do niepoznania się odmienił; miewał już nawet czasami wcale rozsądne zdania, a żonę kochał tą miłością, która na oślep za ukochaną istotą w ogień rzucać nam się każe.

Mały Edward chował się zdrowo, był ślicznem dziecięciem i Joasia czuła się prawie szczęśliwą, gdy jednego dnia Stefan począł się skarżyć na ból w piersiach. Na drugi dzień choroba powaliła go na łoże boleści, z którego nie podniósł się już więcej.

W kilka dni, pomimo starań najtkliwszej żony i kilku lekarzy, umarł biedny idjota, trzymając rękę jedynie ukochanej w swych dłoniach. Szczere i prawdziwe były łzy Joanny przy jego grobie, a gdy dostrzegła, że śmierć jej męża, odbija się źle ukrywanem zadowoleniem na twarzy ojca, uczuła głeboki żal do niego i tem więcej osieroconą stratą tego, który ją jednę kochał na świecie.

Smutno upływał jej stan wdowi. Pomimo miłej powierzchowności i młodych lat, zamknęła się Joanna przed uciechami świata i oddała się li tylko wychowaniu syna, w którym zespoliła wszystkie miłości, jakie kobieta w swem sercu pomieścić może. Stary hrabia lat ośm cieszył się widokiem ubóstwianego wnuka, a umierając, żegnał świat i życie nie błogosławieństwem dwóch jedynie kochanych osób, ale obawą żeby ród jego nie wygasł na Edwardzie.

Dopiero po śmierci ojca, ocknęła się niejako Joanna i przyszła do przekonania, że domowy nauczyciel nie może należycie wykształcić jej syna. Wkrótce majątek ziemski wraz z Proszowem oddała w opiekę staremu i wiernemu zarządcy, a sama z Edwardem przeniosła się na stałe mieszkanie do Warszawy, gdzie otoczyła go najznakomitszymi nauczycielami, prowadząc życie zdala od zgiełku świata. Nie brakło na licznej zgraji wielbicieli młodej i bogatej kobiecie, ale w Joannie wyrobiła się pomału owa duma rodowa, która była przyczyną zwichnięcia jej całego życia, i ta niepozwalała jej szukać szczęścia w nowym związku. Syna kochała namiętnie, ale kochała w nim po nad własną krew — krew przodków, i starała się w niego przelać te same ambicje. Niestety! był to głos woła-

jącego na puszczy! Młody hrabia rósł i kształcąc się, szedł za prądem czasu i własnemi popędami. Fizycznie był zupełnie podobny do ojca, miał jego postawę atletyczną i piękne rysy, samowolę odziedziczył po dziadku, a tkliwość i łagodność matki, wyrobiła w nim wrażliwość i owe niepohamowane pragnienie szczęścia. Gdy matka starała się w sposobnych chwilach wpajać weń zasady arystokratyczne, i prawić o obowiązkach jakie nań wkłada imię tak starożytne, dla którego powinien wyrzec się własnego szczęścia, biorąc z niej przykład, Edward nie dosłuchiwał nawet końca tej perory, całował matkę w rękę i śmiejąc się mówił:

— O moja matko, biedny mój dziad błędnie postępował, robiąc tyle szaleństw w swem życiu i okupując swojem i twojem szczęściem przyjście moje na świat, bo niegodnego ma we mnie następcę! Ja z pewnością dla przeszłości nie poświęcę przyszłości, ani dla umarłych nie pojmę za żonę tej, którejbym nie kochał.

Podobne słowa wprawiały Joannę w rozpacz, tem bardziej, gdy młodzieniec kończył lat dwadzieścia cztery i pokończywszy nauki, z każdym dniem był bliższym pełnoletności. Razu pewnego, gdy jechał wierzchem, koń jego się spłoszył i potrącił jakąś kobietę, przechodzącą ulicą. Ta krzyknęła i upadła, koń uniósł go dalej, ale krzyk ten tak go przeraził, że w minucie poskromił zbuntowane zwierzę i powrócił strwożony na miejsce wypadku. Jak zwykle w mieście tłum zgromadzonej publiczności otaczał zemdlałą, która przyszła już do siebie, lecz skroń miała skrwawioną. Zeskoczyć z konia, oddać go w ręce pierwszego ulicznika i zbliżyć się do zranionej, było to dziełem jednej chwili.

— Pani — rzekł — ja to jestem winowajcą. Oskarzam się dobrowolnie, ale pozwól pani usłużyć sobie. W stanie, w jakim się z mej przyczyny znajdujesz, sama sobie rady dać nie zdołasz.

Kobieta uśmiechnęła się i akcentem wcale nie mile brzmiącym, poprosiła o dorożkę, któraby ją zawiozła do mieszkania. W mgnieniu oka stało się zadość jej żądaniu, a Edward, odwożąc ją, przekonał się, że zranienie było bardzo lekkie, a kobieta cudownie piękna. Dowiedział się również, że była to panna Klara Rotlam, izraelitka, córka bogatego adwokata, który o tyle tylko był żydem, że nie robił tajemnicy z wiary swych przodków, sam zaś będąc wdowcem, jedyną córkę kształcił z nadzwyczajną starannością i prowadził dom elegancki i pański. Jak się to stało, że Edward, który znał tyle kobiet równych mu stanowiskiem i urodzeniem, pokochał Klarę, jest to jedną z owych zagadek, które nam w przeznaczenie wierzyć każą. To pewna jednak, że wzajemnie pokochali się całym szałem pierwszej miłości, a bogaty spadkobierca dumnych przodków, dnia jednego powiedział matce z pokorą synowską, lecz stanowczością męża, że kocha pannę Klarę Rotlam, izraelitkę i córkę adwokata, a kocha ją tak namiętnie, że nie bacząc na cały ogrom przewinienia, które popełnia wobec dumy rodowej, nie poświęci ani jednego dnia szczęścia będąc go pewnym w upragnionym związku. Nie było słów, próśb, gróźb i zaklęć, którychby nie użyła Joanna, starając się odwrócić cios ten dla niej nigdy nie przewidziany. Edward nie oburzył się, nie obraził matki ani jednem słowem, ale trwał w swym zamiarze.

Tak upłynęło kilka tygodni i w tym czasie piękna, złotowłosa Klara, przyjęła wiarę chrześciańską, a we dwa dni po odebraniu dekretu pełnoletności, Edward ukląkł przed matką, z pokorą prosząc o błogosławieństwo. Bez łzy i słowa położyła matka ręce na głowie jedynego syna, który zrozumiał, że serce jej błogosławieństwa mu nie odmawia, ale odtąd odpycha od rodzicielskiego łona. Pochylił głowę w milczeniu, przyjmując wyrok banicji, a w kilka dni potem prosto z kościoła nowożeńcy odjechali do Proszowa, ojczystej siedziby Edwarda, gdzie wśród miodowych miesięcy, prawie zapomnieli o świecie całym.

Biedna Joanna, zawiedziona we wszystkich swych nadziejach, pozostała teraz sama. Mimo, że ten syn był dla niej wszystkiem, zerwała z nim wszelkie stosunki, a sądząc się dotkliwie obrażoną nieposłuszeństwem, nie odpowiadała wcale na częste jego listy, w których błagając o przebaczenie, starał się ją rozbroić opisem swego szczęścia w pożyciu z ukochaną Klarą. Niestety! obrał niewłaściwą drogę, gdyż opisy te większą jeszcze napawały ją goryczą. Gdy w jednym jednak liście, wyczytała wzmiankę o spodziewanym potomku, zadrgały tętna dumy w jej sercu i zaczęła się walka wewnętrzna. Trwać w gniewie czy przebaczyć dla tego spadkobiercy i potomka dumnego rodu, którego zdawało jej się, że nie potrafi wychować ani syn, obojętny na rodową tradycję, ani wzgardzona synowa. Kładła się i budziła z walką w duszy, gdy jak grom doszła ją straszna, telegraficzna wiadomość, że Edward, syn jej jedyny, nie żyje!

Edward przechadzał się z żoną po ogrodzie, gdy jeden ze sług dał mu znać, że wielka ilość kaczek krąży nad stawem. Zapalony myśliwy, ucałował żonę, zapewniając, że za chwilę będzie z powrotem. Przyszedłszy nad brzeg stawu, chciał łódkę strzelbą przyciągnąć, nieostrożnie trącił kurek, strzał się rozległ, a w kwadrans potem, czterech ludzi na zrobionych na prędce noszach, wniosło do pałacu z roztrzaskaną głową trupa Edwarda. Szaloną rozpacz nieszczęśliwej Klary, opisać niepodobna. Bezładne i bluźniercze słowa padały jej z ust. Nie zdolna była biedna do szczytnej rezygnacji, do zgodzenia się z wolą Boga; nie miała bowiem tej podstawy prawdziwie religijnej, która nas przed wyrokami wszechwładnej Istoty rzuca na kolana.

We dwa dni potem wjechała w bramę pałacu ciężka kareta, a z niej wysiadła Joanna, w grubej żałobie. Milcząc przeszła puste komnaty, mijając liczną służbę, rozstępującą się przed nią i stanęła u stóp rzęsiście oświetlonego katafalku. Uklękła i usta poruszyły się jakby do modlitwy. Pierś rozrywające łkania i łzy cisnące się do oczu gwałtem powstrzymała, a po chwili

powstawszy, kazała zaprowadzić się do synowej. Ta straszna wyrazem dzikiej rozpaczy, siedziała na sofie z rozpuszczonemi włosami, które jak złotym okrywały ją płaszczem. Zobaczywszy wchodzącą Joannę, w której domyśliła się matki, załamała ręce i rzucając się do nóg jej, krzyknęła:

— Nie umiałam strzedz twego syna, a mego szczęścia, przeklnij mnie, ale nie przeklinaj jego dziecięcia!

Joanna, której serce na dnie zachowało dawną tkliwość i dobroć, ulitowała się nad tym ogromem szału i rozpaczy, a słowami, w których się zaparła własnej boleści, koiła żal wdowy.

Pogrzeb odbył się z okazałością książęcą prawie. Matka szła za trumną spokojna, choć łzy ciche nie dały się nawet już siłą jej woli powstrzymać. Klara z rykiem zranionej pantery, rzuciła się na trumnę aż siłą oderwać ją od niej musiano. Joanna została teraz w Proszowie, oczekując wkrótce spodziewanego wnuka, siląc się na okazywanie życzliwości synowej, która w obec niej zeszła do podrzędnej roli i czuła się nieśmiałą i jakby winną nieszczęsnej katastrofy. We trzy miesiące po śmierci Edwarda, Klara powiła córkę, a Joanna, jak niegdyś jej ojciec, załamała ręce i odwróciła się ze wstrętem od chorej, dla której rodzaj płci dziecięcia był zupełnie obojętny. Po tym zawodzie, którego całą doniosłość wygaśnięcia starego rodu przypisywała sobie Klara, stosunek jej do matki stał się podobnym do stosunku winowajcy w obec łaskawego sędziego; stała się milcząca, pokorna, wdzięczna za pozwolenie kochania własnego dziecięcia, które rosło śliczne, nie chorujące nigdy, a tak mądre, że wzbudzało podziw nie tylko w otaczających, ale nawet w babce, która sama nie wiedziała, kiedy bezwiednie prawie, pokochała namiętnie Lonię. Lonia z natury była nadzwyczaj samowolną, co ugruntowało się w niej jeszcze bardziej niesłychaną pobłażliwością babki i bałwochwalczą miłością matki. Wzrastając stała się jedyną panią, a chwilami tyranem nawet w domu, w którym wszyscy jej skinieniu posłuszni byli. Była, jak już opisaliśmy, pięknością niezwykłą, dziką prawie; serce miała najlepsze, popędy najszlachetniejsze, ale nie hamowana nigdy w swych zachciankach, okazywała jawnie własnowolę, której opór łagodziła pieszczotami. Z natury posiadała więcej upodobań w przyjemnościach życia męzkiego, a wiedząc, jak babka pragnęła wnuka, od pierwszej młodości przebierała się po męzku. Nie chętnie oddawała się cichym zajęciom młodej dziewicy, nie chętnie spędzała czas przy książce lub fortepianie, nienawidziła robót ręcznych, ale za to w szesnastym roku dosiadała najniesforniejszego rumaka a przebrana w ulubiony strój męzki, pędziła wśród przepaści i stromych wąwozów. Często dnie całe spędzała w lesie, ze strzelbą na ramieniu i nie pozwalając towarzyszyć sobie służbie, strzelała zwierzynę. Czasami jednak nagła napadała ją melancholja i wsiadłszy na łódkę, sama jedna, kierowała wiosłem po szerokim stawie, spiewając naprzemian wojenne lub też tkliwe i miłośne pieśni. Taką była Lonia w chwili, w której poznał ją Tadeusz.

* * *

Dni kilka przebywania razem wystarczyły do zawiązania owego serdecznego i poufałego stosunku, jaki tylko pomiędzy istotami niezepsutemi zawiązać się może. Lonia dotąd nie miała nigdy towarzyszek młodocianych, ani też powiernic snów i marzeń rozbujałej fantazji. Tadeusz stanął przed nią jako długo oczekiwany przyjaciel, jako żywa książka, którą ona czytać zapragnęła. Żywa jej wyobraźnia ustroiła go wszystkiemi czarami ideału i ani chwili nie zastanowiła się nad mogącemi ztąd wyniknąć złemi skutkami podobnego stosunku. Wiedziała od pierwszego dnia, że Tadeusz kochał inną i oczekuje z niecierpliwością chwili w której będzie mógł się z nią połączyć. Nic ją to wcale nie obchodziło; dobrze jej było dziś w towarzystwie jego i to jej wystarczało.

W połowie marca czas był tak piękny, że Lonia, nie pragnąca już teraz przebierać się po męzku, w towarzystwie Tadeusza konno odbywała przejażdżki do Proszowa, doglądając tamże zaczętej około pałacu restauracji. Postępowanie jej z Tadeuszem było swobodne, nie obrachowane, nie krępujące się etykietą.

Tadeusz ani na chwilę nie zapomniał o oddalonej Celinie, pisując do niej jak najczęściej i odbierając również listy pełne miłości. Lonia była dla niego lubem stworzeniem i miłą towarzyszką. Jak starszy a kochający brat starał się wykorzenić w niej wszystkie wady i samowolę tej natury dzikiej, a natomiast zapoznać z obowiązkami względem rodziny i samej siebie. Ukazywał jej świat inny, wyższy i piękniejszy w dziełach znakomitych autorów i poezji arcydziełach. Kłócili się zwykle na tym punkcie, gdyż Lonia nie chciała się na to zgodzić, twierdząc, że najpiękniejszem dziełem i poezją jest cudowna przyroda, z którą nic się porównać nie da. Po takiej dyspucie zwykle jakby na przekór przebierała się po męzku, a nie przyjmując za towarzysza Tadeusza, dosiadała rączego wierzchowca i pędziła w nieznane zakątki górskie, pohulać wśród dzikiej natury.

Jakkolwiek miła była Tadeuszowi bytność gości, stanowiła jednak przeszkodę do połączenia się z Celiną, do której pomimo zapełnionego teraz czasu, tęsknił, a pragnąc ją przynajmniej zobaczyć, rzekł jednego wieczora do swych gości:

— Mam wielką prośbę do pań, za którą naprzód proszę o przebaczenie.

— Jakąż, jeżeli wolno zapytać? — rzekła babka.

— Byście panie chciały być wyrozumiałe i postępek mój nie przypisały niegrzeczności. Potrzebuję koniecznie wyjechać na czas nie długi, raczcie przeto panie łaskawie, uwalniając mnie na dni kilka, zapewnić, że za powrotem moim zastanę je tak przyjacielskie, jak je teraz żegnam.

— Jedź pan, jedź! — zawołała Lonia — jedź, żeń

się i przywoź swoją Celinę, która zaręczam, nie będzie tak nieznośnie gderliwą jak jej przyszły małżonek.

Na drugi dzień rano Tadeusz wyjechał, zostawiwszy rozkaz, aby panie miały wszystko, co tylko im do wygody lub przyjemności służyć może. Lonia po wyjeździe jego czuła się dziwnie osamotnioną; jeździła konno, czytała nawet trochę, siadała do fortepianu, próbując śpiewem i muzyką czas zapełnić i jakoś wszystko jej nie zadawalniało. Wieczorem drugiego dnia usiadła cichutka i smutna u nóg babki a złożywszy głowę na jej kolanach rzekła:

— Babciu moja, tak mi czegoś smutno! Podobnego uczucia nie doznawałam jeszcze nigdy! Może ja chora jestem? — połóż mi babciu dłoń twoją na czoło, bo mnie tam pali coś w mózgu! — Przeraziły się obie kobiety, a matka zwykle milcząca i trzymająca się na uboczu nieśmiało, przyskoczyła z trwogą ku ukochanemu dziecięciu i dwie dłonie razem przycisnęły skronie dziewczęcia.

— Có ci jest dziecko kochane? — z drżeniem w głosie zapytała babka. — Głowa twoja jak w ogniu, a ręce zimne jak lód! Ty chorą jesteś, chodź, ułożę cię wcześnie w łóżeczku, a ze snem może przejdzie cierpienie.

— O! nie babciu, nie uleżałabym! przeciwnie, jabym zapożyczyła skrzydła od ptaków i poleciała daleko — daleko — ach! sama niewiem dokąd!...

— To może przejedziesz się, bo księżyc świeci jasno. Każ osiodłać konia, lub zaprządz do powoziku i pojedziemy gdzie zechcesz dziecino droga — prosiła babka, gładząc kręte włosy dziewczyny.

— Nie mam ochoty do przejażdżki! Próbowałam wszystko! Nic, nic mi nie pomaga! Babciu co mi jest? co się ze mną dzieje? — jesteś starsza, kochasz mnie, musisz przecież wiedzieć! Radź co, bo oszaleję!

Głos jej, gdy tych słów domawiała, brzmiał tak dziwnie i taka tłumiona rozpacz w nim się przebijała, że obie kobiety z trwogą na siebie spojrzały, jakby zapytując się nawzajem o powód tego rozdrażnienia i boleści. Nim z swych twarzy zdołały cokolwiek wyczytać, Lonia wybuchła gwałtownym i głośnym płaczem, a zerwawszy się z kolan, wybiegła z pokoju, pozostawiając obie w niemem przerażeniu i trwodze.

Joanna, jak to poznaliśmy z jej bezbarwnej przeszłości, nie kochała nigdy prawdziwą miłością kochanki. Dla niej stan wnuczki był zupełnie niezrozumiały i przypisywała go fizycznemu cierpieniu i napadowi dziwnego humoru, któremu nie raz podpadała Lonia. Ale Klara, która przeszła przez wszystkie odcienia tego uczucia, z którem nadaremnie początkowo walczyła, przeczuwając ile czeka ją boleści i upokorzeń, jeżeli zechce wcisnąć się do rodziny dumnej, nie mając do tego prawa urodzeniem lub stanowiskiem; Klara, która niegdyś kochała z całą namiętnością wschodniej i gorącej krwi swojej, jako kobieta i matka odgadła stan serca córki, dla której nawet to kiełkujące uczucie było jeszcze tajemnicą.

Już pod noc powróciła Lonia zmęczona z szalonej przejażdżki, a nie chcąc się widzieć z nikim, poszła do swego pokoiku i rzuciła się nierozebrana na łóżko. Leżała tak nieruchoma, ciężko oddychając, mimo że wszystkie już światła w domu pogasły. W tem cicho na palcach — jak cień — wsunęła się wysoka postać do jej pokoju.

— Kto tu? — zawołała Lonia, zerwawszy się z posłania.

— Cicho dziecię — cicho — to ja — twoja matka — szeptem odpowiedziano. — Mówiłaś, że jesteś chora — byłam niespokojną, nie mogłam spać — domyślałam się, że i ty nie spisz — przyszłam więc do ciebie — nie gniewasz się? — i stanąwszy obok niej, biedna matka zarzuciła ręce na szyję ukochanego dziecięcia.

Wszak dziecię to było dla niej wszystkiem, było całem jej szczęściem! O! bo ona kochała je nie tylko miłością macierzyńską, lecz przelała na nie cały ów szał swej ognistej i jedynej miłości, która trwała tak krótko, lecz której wspomnienie dziś jeszcze napawało ją uczuciem niewysłowionego szczęścia i rozkoszy nieziemskich. W tem jedynem dziecięciu kochała cząstkę tego, który dla niej, żydówki, dziecięcia wzgardzonego narodu, wyrzekł się dumy rodowej, przywiązania matki i otoczył ją tak promienistem słońcem miłości, że gdy to słońce nagle i niespodziewanie zagasło, pozostała jak podróżny olśniony przelotnem światłem błyskawicy, wśród stromych skał i przepaści. Gościniec jej życia byłby został pogrążony w wiecznej pomroce, gdyby nie to dziecię. Wszak to jego córka — on nie umarł zupełnie, bo pozostawił jej część swego życia — krwi swojej. Ale i tego szczęścia pozazdroszczono biednej kobiecie!

Postępowaniem więcej jak obojętnem i w sposobie ukłucia szpilkowego okazywaną pogardą, babka zepchnęła ją z wysokości, do której jako matka miała prawo, zabierając jej dziecię pod swoją wyłączną opiekę, kierując niem podług woli własnej i w umyśle dziecka nie budząc nigdy uczucia należnego matce. Wiele musiało być szlachetności w charakterze Loni, gdy przy podobnym stosunku, w jakim była od pierwszej chwili życia chowana, nie zabrakło w jej sercu miejsca dla matki. Kochała ją ona, pieściła, ale tak przywykła do okazywanej jej przez babkę niższości, że nie zastanawiając się nigdy nad tem, nie raz boleśnie dotykała pomijaniem jej rady, lub lekceważeniem tejże. Klara cierpiała niewymownie, lecz boleść swą zamykała w głębi, nie narzucała się z niczem — nie odzywała z radami — okazując tylko swą namiętną a stłumioną miłość wpatrywaniem się w ukochane dziecię lub drobnemi usługami, które mu oddać mogła. Klara liczyła obecnie lat czterdzieści, a serce jej do teraz kochało

miłością kochanki od 16 lat spoczywającego w grobie męża. Po wzburzonym więc stanie Loni, pełnym pragnień niepohamowanych a nieokreślonych, przeczuła, że jej serce bezwiednym szałem zapłonęło dla Tadeusza. Może na tym punkcie zejdą się i zrozumieją te dwie kobiety, które dotąd się nie rozumiały! Może to uczucie będzie łańcuchem, który te dwie istoty silniej z sobą złączy! Z myślą tą, wbrew zwykłej swej nieśmiałości, weszła do pokoju córki i tuląc ją w ramionach, rozpłakała się cicho.

— O! moja matko, dla czego niepokoisz się o mnie? Prawda, że coś dziwnego dzieje się ze mną, ale może to przejdzie. Nie doznawałam nigdy nic podobnego! — tego nikt pojąć nie może!

— Prócz mnie — szepnęła Klara.

— Jakto? — tyś matko cierpiała podobnie? I cóż ci pomogło?

Klara zamilkła, a Lonia wziąwszy jej rękę, przenikliwie patrzyła w oczy.

— Opisz mi twe cierpienie Loniu i powiedz, odkąd się zaczęło — rzekła Klara łagodnie:

— Od dwóch dni matko miejsca znaleźć sobie nie mogę — wszystko mnie niecierpliwi i nudzi — gniewa i rozdrażnia. Czuję gorączkę, w głowie mi pała, a w piersiach duszno, że odetchnąć nie mogę. Zdaje mi się, że jestem nieszczęśliwą, choć nie wiem dobrze, co mnie unieszczęśliwia. Matko — może ja umrę? — O! radźcie, bo ja umierać nie chcę — ja pragnę życia i szczęścia!

— Dziecię moje — odrzekła matka, patrząc ze strachem w gorączkowo błyszczące oczy jedynaczki — uspokój się — nie jesteś chorą, ale możesz zachorować. Mówisz, ze chcesz życia i szczęścia, a któż ma więcej od ciebie ku temu warunków!? Ty miałabyś umrzeć — Ty, prędzej jak ja?! Ty będziesz, — ty musisz być szczęśliwą — choć tyle przecież Bóg mi pozostawi. Jesteś już prawie dorosłą — wkrótce pokochasz kogoś...

— Pokocham? — przerwała prędko Lonia i wpatrzyła się w matkę — pokocham? A więc ty matko myślisz, że ja mało kocham babkę — ciebie — świat piękny — las szumiący — karosza mojego — wszystkich i wszystko? O! tak, tak, prawda — kochałam to wszystko jeszcze tak niedawno, kochałam tak bardzo, dziś zdaje mi się, że nie kocham nic i nikogo! — i zakryła twarz rękami.

— Może tylko Tadeusza — nachyliwszy się ku niej szepnęła matka, tak cicho jednak, że Lonia domyśliła się raczej, jak usłyszała. Jednym susem odskoczyła na środek pokoju — krew uderzyła jej do twarzy — czarne oczy strzeliły błyskawicą.

— Tadeusza? — powtórzyła cicho — Tadeusza? — i głos jej zadrżał dziwnie tkliwie. Tak stała chwilę, jakby badała sama siebie, lecz wnet przypadła do do kolan matki i całując jej ręce, zawołała:

— O tak, tak mameczko! — kocham Tadeusza! Jakżeś ty to odgadła? — Jakaś dobra, żeś mi to powiedziała. Tak — czuję w tej chwili, że jego brakuje do mego zdrowia i szczęścia! Jakże byłam szalona, żem sama na tę myśl nie wpadła, żem tego nie odczuła. Przy nim tak mi dobrze było, choć mi nieraz dokuczył. Powiem szkaradnikowi, żeby już nigdy więcej nie odjeżdżał, bo umrę bez niego! — I zadumało się niedoświadczone dziewczę, a uśmiech szczęścia ubarwił koralowe usta. Matka patrzyła na nią zdumiona. Spodziewała się niemal rozpaczy, a obaczyła ją jakby uspokojoną i uradowaną. To też po chwili odezwała się:

— Loniu moja najmilsza. Ta miłość twoja jest wielkiem nieszczęściem, ale masz wiele z natury silnej woli. Póki uczucie to tli jeszcze w iskierce, stłumić je łatwo.

— Stłumić? — przerwała Lonia z zdziwieniem. — Na co — dla czego? o! w tej chwili czuję, że to uczucie potrafi mnie uszczęśliwić.

— Dziecko! wszakżeż wiesz, że Tadeusz, nim ciebie poznał, pokochał już inną, i że kilka tylko miesięcy dzieli go od połączenia z nią!

— No i cóż mnie to szkodzi? Czyż żona jego może mi go kochać zabronić?!

— Jakto? nieszczęśliwe dziecko — toż ty niewiesz o tem, że taka miłość jest występna! Zresztą on ją, a nie ciebie kochać będzie!

— Niech kocha — i ja ją kochać będę, bo mówił mi, że jest śliczna i dobra jak anioł. Ja jestem brzydka i zła jak szatanek, sam mi to także powiedział. Będziemy więc kochać jego Celinę, ale wolno mi będzie przecież widywać go, z nim rozmawiać i kochać. Tego mi nikt zabronić nie może, ani ty matko — ani babka — ani on sam nawet!

Długo jeszcze rozmawiały tak obie, a Lonia uszczęśliwiona zrobionem odkryciem, niczem się przekonać nie dała, na wszelkie perswazje matki odpowiadając, że sam widok Tadeusza do szczęścia jej wystarczy. Gdy Klara odeszła do swego pokoju, do późnej nocy zasnąć nie mogła, zaniepokojona dopiero po tej rozmowie tem szaleństwem i nieświadomością córki.

Od tej rozmowy powróciło zdrowie i humor Loni, twarz nawet mocniejszy barwił rumieniec, oczy błyszczały jeszcze bardziej — a serce biło w piersi niecierpliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ŁODZIE.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

W dzień Sylwestra miał się odbyć głównie staraniem pana Bolesława, bal składkowy w miasteczku B.

Schludne to miasteczko, było niegdyś rezydencją hrabiego S., ostatniego można powiedzieć magnata polskiego. W jednym tylko względzie, nie był on prawdziwym Polakiem. Umiał żyć po pańsku, a rządził się tak doskonale, że majątku przysparzał, i nie tylko czyste dobra, ale nawet umierając znaczną gotówkę zostawił.

Kilka razy do roku, gromadził w około siebie setki osób z całej niemal Galicji; rozległe lasy rozbrzmiewały wtedy wesołą, a tak miłą dla strzelców muzyką trąb myśliwskich, na wieczór zaś, na chórze wspaniałej, na dwa piątra sali balowej, odzywała się hucznie własna kapela, z 20 muzykantów złożona, którą oprócz tego hrabia zwykł był wozić ze sobą na każde imieniny w sąsiedztwo. Chociaż był wdowcem, przyjętem było, że i panie na bale zjeżdżały, a fety trwały nieraz i po tygodniu. Gościnność była iście staropolska, komfort zaś już cokolwiek z zagranicy zaczerpnięty. Każdemu było tak dobrze jak w domu własnym, a uprzejmość gospodarza i towarzystwo dobrane, zachęcały do przedłużania pobytu w nieskończoność.

Od śmierci staruszka, wspaniała rezydencja pustką stała po największej części. Spadkobiercy tej pięknej fortuny, bądź w Wiedniu, bądź w Paryżu mieszkali, rzadko kiedy, na kilka letnich miesięcy, do pałacu zjeżdżając.

Pan Bolesław znał osobiście teraźniejszego właściciela, napisał więc do niego o pozwolenie użycia pałacu w karnawał do balów składkowych, i otrzymał je w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu, wraz z kluczami, tak od pałacu, jak i od wszelkich ubikacyj do tegoż należących. Rządca i reszta służby, otrzymali polecenie pisemne, aby we wszystkiem byli na rozkazy pana Skalińskiego.

Na owym balu u państwa Rożnieckich, o którym Emma poprzednio wspominała, Bolesław chciał się już stanowczo oświadczyć. Zawsze mu do tego ktoś i coś przeszkadzało. Dom był dość szczupły, towarzystwo liczne, trudno było o kącik samotny, o chwilę wolną, aby wynurzyć w słodkiem sam na sam uczucia, któremi serce jego było przepełnione, tem bardziej, że Emma zdawała się starannie podobnej chwili unikać.

Jako młody człowiek, nie mając nikogo z płci żeńskiej przy sobie, ani matki, ani starszej siostry, nie mógł pań prosić do siebie. Przyszła mu myśl genialna, użyć w tym celu pałacu w B. Tym sposobem spłaci dług wdzięczności całej okolicy, za różne bale i wieczory, na które go zapraszano, a sam bal aranżując, w obszernym pałacu, zarezerwuje sobie jakiś kącik cichy i samotny, gdzie wreszcie wypowie Emmie, co mu na sercu ciąży, i będzie prosić nawzajem o słowo stanowcze.

Nie szczędził kosztu i trudu, aby bal był świetnym co się zowie. Kapelę wojskową zamówił z miasteczka R. o dwie mile oddalonego. Cukiernika ze Lwowa sprowadził, do miejscowej oranżerji, dodał jeszcze całą swoją kolekcję nader pięknych krzewów i kwiatów, któremi ustroił schody, salę balową, a w rogu pałacu urządził prześliczny gabinecik, obok obszernej komnaty dla pań przeznaczonej. Gabinecik wyglądał jak gaj zielony, ze strefy podzwrotnikowej. Lampy z mlecznemi kulami, rzucały światło łagodne, nie rażące zbytnią jaskrawością; pomiędzy klombami ustawiono w półcieniu małe kozetki aksamitne i kilka foteli; na środku biła wonna fontanna. Istna ta świątynia dumania, była miejscem najwłaściwszem do słodkich zwierzeń. Tu postanowił stanowczo oświadczyć się Emmie i rok nowy zacząć jako jej narzeczony. Wcześnie przyjechawszy, okiem znawcy zlustrował wszystko. Sale pływały w blasku świec i lamp, posadzka lśniła, jakby wód źwierciadło, powietrze pełne było balsamicznej woni kwiatów, muzyka wcześnie napojona i nakarmiona stroiła instrumenta, czekając na koło par ochoczych, bufet przedstawiał się elegancko i majestatycznie zarazem. Jeżeli oko pań nęcić miały piramidy ciast, cukrów i owoców, wzrok mężczyzn mógł błogo spocząć na baterjach flaszek rozmaitych z lodem i bez lodu, na półmiskach pełnych marynat, szynek, majonesów i tym podobnych przysmaków, nazywanych charakterystycznie przez Francuzów: *pièces de résistance.*

Im bliżej był chwili stanowczej, tem silniej biło mu serce w łonie, tem większy czuł niepokój. Wyszedł, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, i udał się przez drogę na drugą stronę, do budynku obszernego, w którym niedawno urzędnicy miejscowi, rodzaj kasyna założyli, i do którego głównie Bolesław się przyczynił. Do czytelni darował mnóstwo dzieł pożytecznych, sprowadzał wszystkie dzienniki krajowe i wiele zagranicznych, które członkowie czytelni, za małą opłatą czytali po kolei, tak w kasynie, jak i w domu, a na końcu roku wylosowywali na własność roczniki belletrystyczne. Teraz więc, chcąc sobie skrócić przykre oczekiwanie, zasiadł w czytelni i zaczął przerzucać dzienniki. Nie był w stanie czytać. Litery tańczyły mu przed oczami, a myśli plątały się w głowie i snuły obraz po obrazie, niby w różnokolorowym kalejdoskopie. Zasłonięty dziennikiem, zapadł wreszcie w głęboką zadumę.

W tem kilka naraz sani i karet z latarniami przesunęło się po pod dom kasynowy i zniknęło w bramie do pałacu wiodącej. Głośny trzask z bata stangretów zajeżdżających, obudził zadumanego Bolesława i przy-

pomniał obowiązki głównego balu gospodarza. Zerwał się na równe nogi i pędem pobiegł ku pałacowi.

Pierwsza zajechała czwórka szpaków pani Dłuskiej, tuż za nią kareta państwa Rożnieckich, z ich córką jedyną. Lorcią.

Spóźnił się cokolwiek Bolesław i już nie nadążył przywitać się z pierwszemi paniami, które wprost do garderoby pospieszyły, aby tam poprawić i odświeżyć toaletę.

Jeszcze nie zdjęła wszystkiego ze siebie Emma, gdy wpadła za nią Lorcia, jej najlepsza przyjaciółka i wśród śmiechu zawołała:

— Spotkałyśmy z mamą na schodach pana Skalińskiego. Przyjął nas nader kwaśno, widocznie ciebie pragnął zobaczyć! Miał minę taką jakąś uroczystą! Zobaczysz, że mu się dzisiaj nie wyśliźniesz i rada nie rada będziesz musiała wysłuchać ognistej deklaracji!

— Pleciesz, sama nie wiesz co! — wzruszyła Emma niecierpliwie ramionami.

— Nie udawaj filutko, nie udawaj! Robisz minkę, jakbyś trzech zliczyć nie umiała, a wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Dla kogoż ten bal, jeżeli nie dla twoich pięknych oczek, które dawno już ustrzeliły śmiertelnie pana Bolesława. Dość go to kosztuje pracy i zachodu, słusznie mu się należy w nagrodę za wieczór dzisiejszy, słówko „kocham“ z twoich ust różanych. Przecież nie powiesz, żeby ci był obojętny?

Emma drżała z oburzenia. Wszystko ją gniewało! Czemu pan Bolesław nie czekał na nią u wejścia? Przecież to była jego powinność! Czemu ta Laura wciska się gwałtem w tajniki jej serca i w śmiech obraca to, co dla niej samej jest może dotąd czemś niezbadanem, niepojętem, nie mniej jednak drogim skarbem, prawie świętością! Nieznośna wściubska! Istna plaga społeczeństwa! Czyż ma się zaraz spowiadać przed tą gąską wiejską ze swoich uczuć? Na to chyba, żeby roztrąbiła na cztery wiatry ciekawą wiadomość! A ten pan Bolesław, także doskonały! z tą jakąś miną, z której ludzie obcy wyczytują, to, o czem ona jeszcze dotąd nie dowiedziała się od niego w drodze urzędowej i tylko domyślać się czegoś mogła.

W przystępie najgorszego humoru, odwróciła się z dąsem do Lorci i odrzuciła tonem suchym i ostrym:

— Nie wiem coś wybadała z fizjonomji pana Skalińskiego, mój ty przemądry *Champollionie* w spodnicy! Co do mnie, nie znam się na podobnych *hieroglyfach* i nie umiem tychże tak biegle jak ty odczytywać. Mogę ci jednak zaręczyć, że pan Skaliński jest mi równie obojętny, jak tobie *Lord Palankas*!

Skądże u licha, na balu, w prowincjonalnem miasteczku galicyjskiem, wziął się raptem lord angielski? — spyta może nie jeden.

Lord Palankas, było to czystej krwi hrabiątko galicyjskie, nie umiejące rozumie się słowa po angielsku. Na co mu było trudzić się tak dalece! Dla szyku odbył wprawdzie kilka podróży. W Paryżu zbadał dokładnie tajniki balów *Mabille*, *de la Chaumiere* i tym podobnych. W Londynie połknął cokolwiek mgły angielskiej, wywiózł z tamtąd kilka szkap starych i dychawicznych, z również suchotliwym dżokiejem, który miał mu na każdych wyścigach, tak w kraju, jak i za granicą, wygrywać *le grand prix*. Wygrać wprawdzie, nigdy nic nie wygrał; ale za to przegrał bardzo wiele, nie tylko pieniędzy. W swoich wędrówkach po świecie, tracił fortunę, niszczył siły i zdrowie, a nawet w niejednej brudnej awanturze, dobre imie na szwank wystawił.

Obecnie obgryzał już tylko kosteczki ze znacznej niegdyś ojcowizny. Na drwiny przezwano go *lordem Palankasem*, gdyż powróciwszy z Anglji, obwijał się po cudacku tartanem szkockim, o barwach nader jaskrawych, blagując „że szal darował mu na pamiątkę, jego wielki, od serca przyjaciel, magnat szkocki pierwszej klasy! który go tak pokochał, że się formalnie wykraść musiał, aby do kraju powrócić.“

W stolicy przyjmowano go wprawdzie, ot tak, z przyzwyczajenia, powodzenia jednak niemiał i żadna panna posażna, nie dawała się jakoś usidlić, jego sportsmenowskiemi manierami, nie szła na lep paryskiej szczęki, paryskiej peruczki i paryskiego żargonu. Postanowił więc olśnić i uszczęśliwić prowincję i w tym celu zjechał do jakiegoś wujaszka, którego przed tem znać nie chciał, i uciekał do pierwszej lepszej bramy, ilekroć poczciwy hreczkosiej wybrał się po sprawunki do Lwowa.

Z domu wuja robił wycieczki w okolicę, informował się dokładnie u różnych osób, nie pogardzając nawet miejscowymi arendarzami, co do posagów panien na wydaniu i nadziei tychże na przyszłość; wreszcie postanowił uderzyć o rękę Lorci Rożnieckiej, którą atoli te konkury okropnie irytowały.

Nie można bo sobie było wyobrazić śmieszniejszej figury! Czterdziestka minęła, a kręcił się wiecznie jak mucha w ukropie. Na dwóch cienkich nóżkach kołysał się brzuszek potężny i głowa do dyni podobna, ustrojona peruczką jasno blond, ufryzowaną *á la cochon irrité*. Wyperfumowany był zawsze tak przeraźliwie, że niektóre osoby silnego bolu głowy od tego dostawały, kłamał i blagował bezczelnie, a tchórzem był podszyty, jak zajączek nieprzymierzając.

Łatwo pojąć jak z niego dopiero na prowincji drwiono i jak panny w nos mu się śmiały. Wśród dziarskiej, wiejskiej młodzieży, taka lala wyperfumowana, i wszystkiego się bojąca, jeszcze gorsze niż w stolicy wywołała wrażenie.

Dotknięta ostrą odpowiedzią i tak nie stosownem porównaniem dzielnego i pięknego Bolesława, ze śmiesznym i wymokłym *lordem Palankasem*, Lorcia wypatrzyła się ze zdziwieniem na przyjaciółkę. Umilkła jednak, gdyż znając Emmy porywczość, bała się gorszego jeszcze połajania. Skończyły wreszcie obie poprawiać ubiór i z dwiema starszemi paniami weszły do przedpokoju.

— Ten ktoś zacznie z tobą bal na pewno — szepnęła Emmie Lorcia do ucha. — Szczęśliwa! Będziesz dziś królową balu!

Gdy pan Skaliński zapraszał na bal panią Dłuskę z Emmą, dał dość jasno do zrozumienia, że dla niej jedynie bal urządza i w nagrodę za to, prosił Emmę, aby z nim bal walcem rozpoczęła. Dla czegoż jednak dotąd nie zgłasza się, aby jej przypomnieć daną obietnicę? Znowu gniew w niej zawrzał:

— Zacznie, jeżeli ja zechcę, nie jestem przecie jego niewolnicą! — Emma odpowiedziała mnąc kurczowo chusteczkę i usta do krwi zagryzając. — Nudzą mnie śmiertelnie, te czcze paplaniny i wieczne prześladowania z twojej strony. Najlepiej zrobię, jeżeli wcale z owym ktosiem tańczyć dziś nie będę.

— Jeżeli cię zaangażuje, musisz przecie z nim tańczyć. — zauważyła przestraszona gwałtownością Emmy, roztrzepana wprawdzie, ale bardzo łagodna Lorcia.

— Muszę?! Otóż pokażę ci, czy muszę! Dość czasu po ślubie, być oddaną na łaskę i niełaskę tych panów! Miałżeby mnie już teraz tyranizować? Oh! oni aż nadto przekonani w szalonej zarozumiałości, że każda z nas czeka tylko, na ich łaskawe skinienie!

— Chodźcież raz panny, cóż tak marudzicie w przedpokoju? — zawołała matka Lorci.

Weszły na salę. I znowu jak na nieszczęście odwołano przed chwilą Skalińskiego do bocznych pokoi. Na spotkanie pań rzuciło się czterech mężczyzn. Dwóch poważnych obywateli, podało ramię starszym paniom. Lorcia uczepiła się prędko kuzynka Jasia, z którym bąki zbijała w latach dziecięcych, a który teraz miał ją zasłonić przed nienawistnym *lordem Palankasem*. Emmie więc tylko ta śmieszna figura dostała się w udziale. Jeżeli co mogło przyprowadzić ją do rozpaczy w tej chwili, to pewno ta okoliczność. Muzyka walca zagrała i Bolesław wpadł do sali:

— Przypominam pani obietnicę daną mi łaskawie w Żelabowie i proszę o pierwszy *tour* walca — przemówił do Emmy głosem dziwnie brzmiącym i obrzucił ją spojrzeniem tak czułem, że aż serce jej drgnęło nieznaną dotąd rozkoszą, pod prądem magnetycznym tych oczów ciemnych a głębokich. Stłumiła jednak uczucie serdeczne, poczciwe. Uniesiona gniewem, niby usprawiedliwionym chwilowem czekaniem i dumą najgłupszą w świecie, rzekła zimno i wyzywająco:

— Spóźniłeś się pan. Właśnie mnię do pierwszego *turu* zaangażowano. — I spojrzała znacząco w stronę hrabiego.

Uszczęśliwiony *Lord Palankas*, uśmiechnął się z miną tryumfującą, że taka piękna osoba i najlepsza danserka, sama go wzywa i zachęca, mruknął coś pod nosem o swoim wielkiem szczęściu i puścił się z nią po sali.

Pierwszy *tour* walca tańczyć z tą śmieszną beczułką na dwóch krótkich nóżkach, z której wszyscy drwią w najlepsze, zamiast płynąć w objęciu najpiękniejszego w całem tem gronie mężczyzny, umiejącego tak zręcznie i z taką gracją niezrównaną danserkę prowadzić! Był to już początek kary.

Skoro owe nieszczęsne słowa z ust jej wyleciały, chciałaby była biedna Emma kosztem krwi własnej cofnąć je nazad. Żal przyszedł jednak za późno.

Pierwszy raz w życiu skłamała, zaafiszowała się niejako, i w obec kogo?! W obec nieznośnego, zarozumiałego fadowicza, który gotów o tem trąbić całemu światu. Nareszcie obraziła śmiertelnie człowieka zacnego, najszlachetniejszego, który jej dawał tysiące dowodów szczerego przywiązania, a którego... — w tej chwili dopiero i ona zrozumiała, co się w jej sercu dzieje — którego ona kocha nad życie!

Bo dla czegoż na myśl, że go zraniła, że może go na zawsze utracić, taki ból w piersi uczuła, dla czego taki przestrach ją ogarnął?!

Raz przez salę przetańczywszy, wyzwoliła się z ramion *Lorda Palankasa* i niespokojna obejrzała się w koło. Z kim też tańczy pan Bolesław? Czy nie przyjdzie poprosić o inny taniec? Z jakąż radością tańczyła by z nim teraz, a nawet... nawet... przeprosiłaby go za poprzednią niegrzeczność.

Bolesław nie ruszył się z miejsca; stał tam, gdzie go zostawiła, jakby wrósł w posadzkę. Gdy podniosła na niego oczy nieśmiało, spiorunował ją takiem groźnem wejrzeniem, jakiem nikt jeszcze nigdy na nią nie popatrzył. Przymknęła powieki jak dziecko strwożone śmiertelnie widokiem dziada lub kominiarza, po chwili jednak chciała znowu zmierzyć niebezpieczeństwo, otworzyła oczy, powiodła wzrokiem po sali... Bolesława już nigdzie nie było.

(Dokończenie nastąpi.)

Kwiat tajemniczy.

(Ciąg dalszy).

Wzrok jej padł na bilecik, dotąd nie rozpieczętowany, który Żaneta na biurku położyła. Porwała go, przysunęła fotel na środek pokoju, i wyskoczywszy na niego, przy słabym blasku lampki nocnej czytać zaczęła:

„Pani! — brzmiał bilecik. — Postępowanie twoje ze mną, stało się od pewnego czasu tak impertynenckie i lekceważące, iż dłużej znosić go nie myślę. I kaprysy, pięknych jak ty czarodziejek, kres jakiś mieć muszą. Napisz więc czy obiecujesz poprawę, lub przyjm ostatnie słowo pożegniania na wieki.

Ludwik".

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się dziko — książe zaczyna się szczurzyć na prawdę. Nie spodziewałam się, że gniewać się potrafi ta mumja! A któżby tego trupa galwanizował, gdyby mnie przestał widywać? Zresztą, mniejsza o to! Nic mu nie odpiszę. Mam już dosyć tej jego obrzydłej facjaty i tego przymusu.

Rzuciła bilet na gierydon przed otomanką stojący, i drgnęła nerwowo, słysząc dzwonek w przedpokoju, silną ręką pociągnięty. Za chwilę stanął w progu de Lussac i Żaneta napowrót lampę wnosząca.

— Miałeś przyjść o siódmej — rzuciła mu gniewnie tancerka, gdy Żaneta się oddaliła.

— Nie mogłem prędzej moja królowo! — zawołał wchodzący patetycznie, z drwiącym uśmiechem zginając przed nią kolano — wiele miałem do czynienia, ale też i wielkich rzeczy dokazałem.

— Cóż? Mówże? Leons grać zaczął? — przyskoczyła do niego Heloiza z okiem pałającem, dysząc z niecierpliwości.

— Ho! ho! moja piękna! Tak znowu nie idzie parową maszyną! Jesteśmy na dobrej drodze, ale jeszcze nie u celu. Powoli, powoli i to się zrobi. Muszę ci jednak wszystko po porządku opowiadać, inaczej przepadłoby mnóstwo szczegółów interesujących, i świadczących o mojej wysokiej dyplomacji. A tymczasem nie masz tam kropelki czego mocnego? Djabelnie zimno, deszcz leje jak z cebra, do szpiku kości przemarzłem; nawet twoje oczy palące rozgrzać mnię nie potrafią.

Tancerka wzruszyła ramionami, a podchodząc do szafki w murze, otworzyła ją kluczykiem, u pasa wiszącym. Wydobywszy z niej butelkę pękatą i pleśnią okrytą, postawiła wraz z kieliszkiem przed gościem swoim.

Nalał, szkosztował i cmoknął językiem:

— Boski Tokaj! — zawołał z entuzjazmem. — Pewnie książe Ludwik, zaprowiantował cię w niego? Takie wino tylko głowy ukoronowane spijają. *Apropos!* Jakże z sobą stoicie?

— Źle! — brzmiała odpowiedź lakoniczna, i tancerka rzuciła mu w nos bilet księcia.

— Śliczne historje! — mruknął de Lussac. — Musisz księciu odpisać najgrzeczniej i napowrót go przywabić. Potrzebujemy go niezbędnie!

— Cóż to za ton? — oburzyła się tancerka. — Nie zaprzedałam ci się w niewolę. Pamiętaj, że ja ciebie trzymam w ręku!

— Trzymamy się lubcio wzajemnie — zaśmiał się Maks sarkastycznie. — Racz o tem również nie zapominać! Jakiegokolwiek rodzaju, były moje... spekulacyjki, zysk z nich szedł na połowę. Już to u ciebie śliczotko, pieniądze przez palce przelatują, jak woda przez rzeszoto. Morze byłabyś w stanie wyczerpać.

— A któż mnię taką uczynił?! — zgrzytnęła zębami. — Byłam dzieckiem wierzącem, niewinnem, dość było dla mojego zadowolenia szklanki mleka, pod cieniem drzew, wśród słońca promieni wypitej. Ty szatanie skusiłeś mnie pierwszy, tyś mnie zgubił, otaczając siecią intryg podłych i nikczemnych. Dziś — głucho jęknęła — szukam zapomnienia w roskoszy zwierzęcej, w blasku zwodniczym, którym mnie zepsucie otoczyło. Drwię i pogardzam światem, nawzajem przez ludzi uczciwych odepchnięta i pogardzona. Nie drażnij mnie i nie wyzywaj zemsty mojej łotrze!

— Nie wiedziałem, że potrafisz tak znakomicie grać rolę tragiczną ofiary losu nieszczęśliwej! — zawołał śmiejąc się de Lussac. — „*Soyons amis*“ — wyciągnął dłoń do niej i ujął za rękę, którą mu gwałtownie wyrywała. — Za nadtoś mądra, żebyś miała zrywać z księciem stanowczo. Osypał cię wprawdzie brylantami, jak *fama* niesie, ale jeszcze nie jedno wydusisz z tej cytryny; szkodaby więc odrzucić ją przed czasem. A teraz posłuchaj o Leonsie.

Tu, szeroko i długo, zaczął jej opowiadać, ile już wymógł na Leonsie, że bywa w klubie niemal codziennie, do Sportu się zapisał, teatr odwidza, jednem słowem: w świat się lansuje.

— Dodaj do tego — kończył — iż nie tylko walczę z wspomnieniem umarłej, ale i z miłością do żywej, a nadzwyczaj także cnotliwej osóbki, której li skrzydeł brakuje, aby w niebo ulecieć.

— Kocha się? W kim?! — krzyknęła tancerka z wściekłością.

— Nie powiem ci, bo byś w twojej zapamiętałości gotowa głupstwo palnąć, i sprawę popsuć. Ot! sobie laleczka salonowa. Bez krwi, bez temperamentu; znudzi się nią prędko...

— Nie prawda! — tancerka z dumą się wyprostowała. — Musi to być niezwykła istota, szczególniejszemi darami od natury obdarzona, skoro mógł przy niej o mnie zapomnieć. Od niej zapewne pochodzi ten medaljon, z kosmykiem jasnych włosów i białą margierytą? O! zemścić się, zemścić! dostać w ręce medaljon przeklęty i zniszczyć go, zdeptać w jego oczach, jak on mnie zdeptał, u nóg jego w prochu się czołgającą!

— I medaljon dostaniemy, tylko cierpliwości! — zachichotał Maks śmiechem iście szatańskim. — I pana Leonsa na *iks* wyprowadzimy.

Tancerka z przestrachem na niego spojrzała.

— Dla czegoż ty go tak nienawidzisz? — spytała.

— Dla czego?! Czyż nie dość byłoby tego jednego powodu, żeś ty go kochała z pokorą niewolnicy, kiedy dla mnie miałaś i masz li pogardę z oczach i na ustach?! Zresztą, dla czego on, zabrnąwszy tak głęboko, miałby się podnieść z upadku, skoro ja już się podnieść nie mogę!

Zmarszczył brwi ponuro i w jeden punkt się wpatrywał, jakby mu tam jakieś widmo straszliwe nagle się pokazało.

Otrząsł się z zadumy, duszkiem wychylił kieliszek, który znowu Heloiza była napełniła i porwał za kapelusz.

— Ręka rękę myje, moja piękna! — zawołał z udaną wesołością. — Ja obowiązuję ci się medaljon dostawić, a ty się postaraj, aby te pięćdziesiąt tysięcy rubli, książe w chwili rozkosznego uniesienia w twojem towarzystwie, na złoto francuzkie wymieniać ci kazał. Powiedz, że to ci *á conto* przyszłych występów przysłano z Petersburga; zresztą powiesz, co zechcesz, byle interes był gładko załatwiony.

Rzucił na stół pakiet banknotów, próbował otoczyć tej kibić ramieniem i do siebie przycisnąć, gwałtownie jednak odtrącony, ze śmiechem, nucąc jakąś wesołą arjetkę, wybiegł z pokoju.

Heloiza stała jakiś czas w miejscu, jakby skamieniała, wreszcie nogi się pod nią zachwiały, i z głuchym jękiem na fotel upadła:

— Boże! Boże! I jam tego łotra napowrót sama przywołała? — załamała ręce rozpaczliwie. — Znowu mam być narzędziem w jego ręku? Dla czego? aby zgubić Leonsa, moją miłość jedyną? Ha! nie wiem, którego z tych dwóch więcej nienawidzę; czy tego, który mnie sprzedał nikczemnie, popsuł i wtrącił na dno przepaści, czy Leonsa, który mógł mnie podnieść, a nie chciał. Choćby się z całem piekłem sprzymierzyć, byle zemścić się i zadać mu cios równie bolesny, jakim on zranił serce moje!

X.

STARE DZIEJE.

Margrabina de Nangis siedziała przy biurku w swojej sypialni, a pocisnąwszy tajemną sprężynę, w głębi jednej z szufladek, okiem łzawem wpatrywała się w różne przedmioty w tej kryjówce zgromadzone.

Była tam miniatura na kości słoniowej, pięknego, jasnowłosego mężczyzny, kilka zeschłych bukiecików, po polach i łąkach zbieranych, kamyczki rzeczne, wreszcie w dużym, szklannym medaljonie, w złotej oprawie czarno emaljowanej i perłami wysadzanej, pukiel włosów jasnych z krwią zapiekłą i płótna białego kawałek, również krwią zbroczonego.

Dzisiejsze pokolenie nie znało historji margrabiny, powszechnie też dziwiono się, że tak stroni od ludzi, tak ponure ma usposobienie, tak dla jedynego dziecka nawet, lubej, uroczej Blanki, jest zimną i nieprzystępną.

Głuche wieści obiegały, że w bardzo młodym wieku, uderzył w nią jak grom, cios straszliwy. Gorąco przez nią ukochany narzeczony, miał zginąć śmiercią gwałtowną. Z sercem złamanem, straciwszy matkę, prześladowana przez macochę, którą w rok niespełna ojciec do domu wprowadził, biedna sierota zdecydowała się wyjść za markiza i półkownika de Nangis, o lat kilkadziesiąt od niej starszego.

Półkownik był to człek wojskowy, niezłomnych zasad w sprawach honoru, ale dość szorstki w codziennem pożyciu. Pozornie, było to małżeństwo wzorowe. Półkownik przy ludziach był dla swojej młodej i pięknej żony pełen rycerskiej galanterji, którą ona przyjmowała spokojnie, szanując jego siwe włosy i postępując z godnością na każdym kroku.

Służba jednak utrzymywała, iż często margrabinę we łzach zastać było można, bądź to modlącą się w sypialni przed pięknym obrazem starej, włoskiej szkoły, wyobrażającym twarz bolesną pana Jezusa pod krzyżem upadającego, bądź też przed owem biurkiem, gdzie i my ją właśnie zastali. Uśmiech za to prawie nigdy się nie pojawiał na tych zbladłych i jakby wiecznym bolem ściętych ustach.

Stary półkownik miał się tą melancholją, której nawet córka rozpròszyć nie zdołała, wielce irytować; żona przyjmowała wymówki z rezygnacją, trybu życia jednak nie zmieniała. O ile mogła, usuwała się od towarzystwa, a owdowiawszy, do reszty ze światem zerwała.

Dla tego to, tak się córka zdziwiła, że pan de Lussac miał być przez jej matkę specjalnie zaproszony, gdyż od lat wielu, prócz wujów i nieznośnego jej brata stryjecznego Raula, żaden obcy mężczyzna progu ich nie przestąpił.

Margrabina miała postawę wyniosłą, była poważna, zamyślona, mająca w sobie tę dystynkcją w ruchach i całej postawie, która jest wyłącznym przywilejem wyższych sfer społecznych i zdaje się mówić: „Zdaleka odemnie“! Gdy ktoś pospolity i niepowołany, chce w tem arystokratów naśladować, zamiast byś dystyngowanym, robi się sztywnym, a zamiast nakazywać uszanowanie, śmiech tylko wzbudza swoją nadętą figurą.

Od niejakiego czasu, dziwna zmiana zaszła w margrabinie. Była nerwowa, rozstrojona, jakby ją trapiła i spokoju nie dawała jakaś myśl tajemna.

Drzwi się z lekka otworzyły, a siwowłosy, długoletni kamerdyner cichym głosem zaanonsował:

— Hrabina Kervadek i pan de Lussac.

Drgnęła margrabina, prędko szufladkę zasunęła i biurko zamknęła, a spojrzawszy w źwierciadło, czy twarz jej nie zdradza wewnętrznego niepokoju: „Prosić!“ — zawołała.

Weszła Irma, zawsze świetna i wesoła, a za nią wyświeżony, elegancki pan de Lussac.

— Przyprowadzam ci delikwenta siostruniu — od progu zawołała. — Tłumacz że się pan sam teraz, czemu dotąd nie byłeś u margrabiny — zwróciła się z figlarnym uśmiechem do Maksa.

— Chciałem prosić o pozwolenie i przyjść razem z moim przyjacielem, panem Michaud...

— Tym... młynarzem? — przerwała gniewnie margrabina.

— Pan Michaud, jako bogaty i zgolny industryel, bywa wszędzie — odezwała się Irma. — Będzie pojutrze na balu i żywych obrazach u ministra S.

— Dziwne czasy nastały! — westchnęła margrabina. — Wszędzie musimy się o to mieszczaństwo ocierać. Myślałam, żeś ty tylko tak ekscentryczna Irmo.

— Ależ w żyłach Leonsa Michaud nie całkiem plebejuszowska krew płynie i...

— Proszęż cię Irmo, przestań! — wpadła jej w słowo margrabina. — Wiesz, że podobnych żartów nie znoszę.

Zmięszana Irma tem napomnieniem, wzięła dla kontenansu najnowszy dziennik ze stołu.

— Czytałaś siostruniu — spytała — o tej najnowszej w Wiedniu awanturze? Hrabianka Salm miała wychodzić za magnata węgierskiego, tym czasem pokazało się, że to był żyd, czy też wychrzta, który zabrawszy wszystkie klejnoty narzeczonej, ulotnił się do wiecznego niezobaczenia! To coś w tym guście, jak historja twojej przyjaciółki, Julji de Granville, o której mi wspominałaś.

Margrabina zbladła sztraszliwie, odrzekła jednak z całym spokojem:

— Zapewne, jest niejakie podobieństwo. Oszuści są zawsze ci sami.

Rzuciła okiem nieznacznie na pana de Lussac, po którego twarzy przebiegł kurcz nerwowy, a w źrenicach coś, niby przestrach zamigotało.

— Tylko że tu niema szczegółów tak tragicznych — ciągnęła dalej Irma ze zwykłem u niej roztargnieniem i nieoględnością. — Wszak prawda, że ów Julji narzeczony, który uchodził za hrabiego de Tournelles, gdy brat tejże za nim udał się w pogoń, wystrzałem z pistoletu zranił śmiertelnie pana de Granville?

— Tak — głucho odrzekła pani de Nangis. — Mimo starań najczulszych, któremi otoczyła go narzeczona, gdyż siostra leżała w malignie... Adolf de Granville skonał nazajutrz.

— I nie ujęto mordercy? — spytał ciekawie pan de Lussac.

— Julja, wróciwszy przed śmiercią do przytomności, zaklinała obecnych, żeby dali pokój wszelkim poszukiwaniom. Ona bądź jak bądź, pokochała była tego nikczemnika. Umierała ze słowem przebaczenia nawet dla niego.

— Ale i dziś jeszcze, możnaby poruszyć tę sprawę — wtrącił de Lussac.

— Po tylu latach! I na cóż by to się zdało? — potrząsła głową margrabina. — Któżby wreszcie miał w tem jaki interes? Wszystko i wszyscy utonęli w fali zapomnienia i gdyby nie Irmy trochę za długi języczek, niktby więcej o tem nie wspomniał. A wiesz dobrze — zwróciła się do bratowej — że mi bolesne każde o Julji wspomnienie. Szczerze ją kochałam.

W tej chwili odpięła się Irmie bransoleta i potoczyła pod nogi margrabiny. De Lussac schylił się szybko, by ją podnieść. Promień słońca padał ukośnie wzdłuż pokoju i oświetlił jego głowę. Włosy dziwnie się mieniły; przy samej skórze były jakby szare, a dalej czerwoniawe.

— Farbowane! — rzekła w duchu margrabina — twarz zaś doskonałym kosmetykiem pociągnięta. Ale oczy, te oczy niegdyś tak palące, znacznie przygasły, a na skroniach i koło ust, można dostrzedz pod blanszem, sieć zmarszczków drobniutkich. Mimo tej sztucznej młodości, to on! on niezawodnie! Cicho serce, nie zdradź się przed czasem, nie spłoszmy łotra nikczemnego!

Zaczęto mówić o rzeczach obojętnych, a najwięcej o balu i żywych obrazach u pani ministrowej, czem się chwilowo cały Paryż interesował.

Wkrótce goście odeszli. Margrabina pożegnała nader łaskawie pana de Lussac, zachęcając, by czasem sobie i o niej przypomniał, co jej będzie nader przyjemnem. Maks oświadczył ze swojej strony, iż będzie uważał to łaskawe pozwolenie, jako zaszczyt i szczęście prawdziwe.

Gdy w chwilę później Blanka weszła do pokoju matki, ta porwała ją w objęcia z niezwykłą czułością, a okrywając namiętnemi pocałunkami:

— Ciesz się dziecię wraz ze mną! — zawołała. — Dziś dla matki twojej dzień tryumfu, dzień radości. Bóg pozwoli może dożyć mi tej chwili, kiedy pomszczoną będzie krew Adolfa mojego. Tyle lat! tyle na nią czekałam! Ta myśl pochłaniała wszelkie inne uczucia, nią żyłam, nią oddychałam! Daruj dziecię biednej twojej matce, że nawet ciebie nie umiała ukochać, tak, jak była powinna. Rosłaś bez pieszczot macierzyńskich, bez jej słodkiego uśmiechu. O! moje serce skamieniało w owej nocy strasznej, kiedy zimne już tylko zwłoki Adolfa tuliłam do łona. Jedynie chęć zemsty nad jego podłym mordercą, utrzymała mnię wtedy przy życiu, i wlokłam dalej to życie nędzne i jak grób ponure; nic mnię rozerwać, nic pocieszyć nie mogło. Boże! Boże! Jeżeliś mi tak długo żyć kazał, pozwól znaleść dowody, pozwól zemsty dokonać.

Tu pierwszy raz w życiu zaczęła opowiadać córce smętne dzieje swojej młodości. Otworzyła przed nią nie tylko serce, ale i skarby wszystkie jej pokazała, które na dnie szufladki ukryte leżały. Te kwiaty polne, te kamyczki świecące, zbierali razem z Adolfem na łące, nad Loarą; on ze siostrą Julją, stanowił ich najbliższe sąsiedztwo. Była to rzewna historja, jak świat stara, a jak wiosna wiecznie się odnawiająca, historja miłości szczerej, dziecinnej, dwojga serc młodych, ufających, szukających siebie nawzajem, i cieszących się we wzajemnem upojeniu całym tym światem Bożym. Wszystko zdawało się do nich słodko uśmiechać, wszystko roskoszą napełniało, bo ich dusze obchodziły święto wielkie, święto pierwszej miłości.

Blanka słuchała rozmarzona, siedząc u nóg matki, a gdy łkanie bolesne głos jej wreszcie stłumiło, upadła matce na łono, również łzami zalana.

— Mamo, najdroższa mamo! — szepnęła. — Nie dziwię się niczemu, tylko twojej sile, żeś przeżyć go potrafiła! Mnie byłoby serce pękło z pewnością!

XI.

ŻYWE OBRAZY.

Po prawej ręce od drzwi wchodowych, obok olbrzymiej, dwupiątrowej sali do tańcu, był salon obszerny, który dziś na pół przedzielono kortyną z ponsowego adamaszku, przeznaczając na scenę do żywych obrazów. Boki, obok kortyny, były osłonięte suknem w grube fałdy układanem, w tym samym kolorze. Liczne promienie gazowe, osłonięte mlecznemi kulami, rozlewały światło jakby dzienne, a nic nie rażące. Cały rząd salonów i pokoi, również rzęsiście oświetlonych, kończył się oranżerją, nęcącą wonią kwiatów, szmerem fontan, spadających srebrną kaskadą w baseny marmurowe i chłódkiem rozkosznym, wśrod palm i innych drzew egzotycznych.

W sali balowej nie brakło również na klombach, pełnych krzaków róż, oleandrów i azalij kwitnących; słupy podtrzymujące chór dla muzyki, owijały girlandy

z bluszczów i powoi; w czterech rogach, cztery pory roku, fantastycznie przez rzeźbiarza z marmuru kararyjskiego wykute, wyzierały rozkosznie z zieleni, i niosły na strojnych główkach światła piramidy.

Salony zapełniały się powoli postrojonemi paniami, wojskowymi, z piersiami jak firmament gwiazdzistemi, panami w czarnych frakach, stanowiących we wszystkich salonach tło ciemne, na którem tem korzystniej odbijają się różnobarwne dam toalety.

Muzyka stroiła istrumenta w sali balowej, a w salonie gwarno było jak w ulu, śmiano się, żartowano, opowiadano na ucho najnowsze skandaliki, krytykowano na niewidzialnego osoby mające wystąpić w obrazach, a każdy i każda z krytykujących myśleli w duchu, że oni byliby tam więcej na miejscu.

Gospodyni domu, z wyszukaną grzecznością robiła honory. Dla każdego miała w pogotowiu miłe słówko, uśmiech przyjazny, ręki ściśnienie; sadowiła jak mogła damy przybywające, godząc z taktem właściwym pretensje zawiści i nad stan wymagania.

W tem kamerdyner zaanonsował głosem donośnym:

— Pani półkownikowa, margrabina de Nangis!

Rozruch zrobił się w sali, a oboje gospodarstwo do samych drzwi na przeciw rzadkiego gościa pospieszyli, prowadząc do pierwszego rzędu, gdzie fotel dla margrabiny zarezerwowano, tuż za dwoma fotelami, cokolwiek na wywyższeniu, które czekały na najjaśniejszych państwa.

Wspaniale wyglądała ta postać dotąd przez wiek nieprzygarbiona, w szacie powłóczystej z czarnego aksamitu, w mantyli czarnej, koronkowej, modą biszpańską od głowy spadającej. Nad czołem lśnił pyszny djadem z brylantów, na szyi wiły się perły prześlicznej wody i niezwykłej wielkości. Był to wprawdzie strój wdowi, smutny i łzy przypominający, ale nie mniej godny królowej.

Na wszystkie strony dopytywano się o piękną Blankę:

— To niespodzianka, którą gotujemy całemu towarzystwu — odpowiadała tajemniczo pani ministrowa.

Zafalowała kortyna, a z pod niej wyściubiła główkę ciekawą hrabina de Kervadek. Fantastyczniejszy jeszcze niż zwykle strój głowy, zdradzał ubiór cyganki. Poskoczyła ku niej gospodyni domu.

— Jakże stoimy śliczna i droga moja reżyserko? — spytała serdecznie Irmę za rękę ściskając. — Pewnie wiele jeszcze nie dostaje i trzeba łatać w ostatniej chwili?

— Wszystko idzie jak po maśle — zaśmiała się wesoło Irma. — Tylko hrabia Perçi bruździ jak zwykle. Dotąd go nie ma!

— Ah! toby było *fiasco* okropne — plasnęła w dłonie ministrowa. — Na tę niespodziankę przygotowuję wszystkich. To ma być *le bouquet* naszego przedstawienia.

— Nadejdzie zapewne. To obraz ostatni — uspokajała Irma.

— Cesarstwo niebawem nadejdą — znowu zagadała ministrowa. — Zwykle bywają punktualni. Możeby już zacząć układać obraz pierwszy? Żebyś nie ty hrabino była mi pomocną w tem trudnem przedsięwzięciu, nigdy nie byłabym do końca trafiła. Jeszcze teraz, w chwili ostatniej, przechodzą mię dreszcze, czy przedstawienie godnem będzie gości tak dostojnych.

Kilku panów zbliżyło się do otworu w kortynie, błagając czarującą cyganeczkę, ten o taniec, ów o wywróżenie mu z dłoni przyszłych losów.

— Potem o tem moi panowie — odprawiała wszystkich z miną nader urzędową. — W tej chwili jak drugi *Atlas* dźwigam świat cały na moich ramionach.

Skinęła ręką i mrugnęła zalotnie ze swojej kryjówki na Leonsa, opodal stojącego.

— Czemu ten smutek w oku twojem piękny rycerzu? — spytała, dodając jeszcze ciszej: — Blanka jest tu, za kulisami. Przecudowna z niej *Gretchen!* Ale cicho, sza! To niespodzianka, nawet dla najjaśniejszych państwa, którym dotąd nie była przedstawioną. Jaki pan dzisiaj blady, interesujący — palcem mu figlarnie pogroziła. — Boję się tych pańskich oczu melancholijnych, żeby za wiele serduszek niewinnych nie zbałamuciły.

— Oto możesz pani być zupełnie spokojną — uśmiechnął się smutno.

— Tak to wy zawsze mówicie, tyrani i pogromcy serc naszych, póki nas w sidła nie ułowicie. Ale otóż i dwór! Uciekam!

Weszli oboje cesarstwo.

Któż byłby pomyślał z obecnych, widząc postać Eugenji wiecznie młodą, wiecznie piękną i ponętną, że ta kobieta, nosząca na głowie nie tylko Francji koronę, ale dzierżąca w swojej białej dłoni berło wszechpotężne królowej mody, do której kaprysów cały świat się lat tyle stosował, że ta świetna gwiazda tak prędko spadnie z błękitów.

Wkrótce jednak tak się stać miało. Z całym swoim blaskiem utonęła gwiazda w fali zapomnienia, i dopiero świat ją sobie przypomniał, gdy szła nieszczęsna matka skrapiać łzami gorzkiemi miejsce odludne, nasiąknięte kwią serdeczną jej syna jedynego.

Tego atoli wieczora, wyglądała jak bogini piękności, która tylko co opuściła wód morskich kryształy. Ciężka, jedwabna materja, mieniła się jak fala, w kolor niebiesko-zielonkowaty, cudnej cienkości białe koronki, niby morska pjana, lekką mgłą jej postać uroczą owiewały, perły i brylanty, rozsiane umiejętnie, lśniły i mieniły się najcudowniejszą grą kolorów, to jako krople rosy, wykukując z lilji wodnych kielichów, to jako agrafy koronki podpinając, to migocąc niby świetne gwiazdeczki, wśród pukli złotych na głowie, sztucznie, a jakby od niechcenia ułożonych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.